

Marek Nowak

Kraj Dogonów

– Rozumiem, ale nie nazywaj go tak, nawet kiedy mówisz do mnie i nie ma nikogo w promieniu kilometra – Enzo odwrócił się i sięgnął do lodówki po butelkę wody.

Błażej wykorzystał ten moment, by otrzeć pot z czoła. Przyzwyczaił się wprawdzie do afrykańskich upałów, ale trudno znosił krytykę. Denerwował się jak szczeniak, a krople potu niemal natychmiast pojawiały się na jego czole. Oczywiście nie zawsze tak było. Kiedyś, lata temu, był przecież dobrym polskim policjantem.

– Wymsknie ci się potem przypadkiem coś takiego i będzie bardzo, bardzo niezręcznie – kontynuował Enzo, rozstawiając i napelniając szklanki. – A nie dość, że będzie niezręcznie, to zamiast miliona monet zobaczymy odjeżdżającego milionera.

– To jak mam mówić? – wychylił niemal całą szklankę jednym łykiem.

Enzo zamyślił się. Był niższy od Błażeja o głowę i dużo gorzej zbudowany. W całym Mali nie było zresztą nikogo lepiej zbudowanego od Błażeja. Sylwetka kulturysty oraz to, że nikt nie potrafił tu poprawnie wymówić jego imienia (francuskie Blaise brzmiało przecież jak „blaza”), zapewniły mu ksywę Arnold.

Enzo przyjął zaskakująco poważny wyraz twarzy.

– Wiem – uderzył nagle ciemnoskórą dłonią w brązowy blat biurka. – Nazywaj go ekscentrykiem. To nie obraża. Możesz chyba przez kilka dni nie obrażać najbogatszego klienta w historii mojej firmy?

– Oczywiście – Błażej wzruszył ramionami. Ukrywanie zdenerwowania szło mu coraz gorzej i chciał jak najszybciej ponownie zobaczyć spokojną wersję twarzy przełożonego. – Przyznasz jednak, że zamówienie C4 w ilości, jaka wystarczyłaby do wysadzenia głównej dzielnicy Bamako i tego całego sprzętu budowlanego, jest... mocno ekscentryczne.

– Mam to gdzieś. Amerykański milioner z Rhode Island może u mnie zamawiać co chce, a ja mu to zapewnię w bardzo dobrej cenie. Jeśli potwierdzi wszystko, o czym pisał w mailu i zaakceptuje moje wyceny, zostawi tu prawdziwą fortunę. Właściwie, jakby chciał kupić cały ten kraj, też bym dał radę mu pomóc – Enzo uśmiechnął się odsłaniając białe zęby. Znów był sobą.

Błażej rzucił okiem za okno na popękana nawierzchnię Kasse Kelta, wysuszoną od słońca trawę i nieliczne palmy. „Do tego kraju, to trzeba by raczej dopłacić” – pomyślał. Pieniądze były dla niego trudnym tematem. Enzo wyciągnął go przecież z rynsztoka i ocalił życie. Przemógł się jednak.

– Będę miał z tego coś ekstra? – spytał.

– Tak, Arnold. Ochroniaj go, traktuj z szacunkiem, pomóż ogarnąć robotników, a dostaniesz ogromną premię i sporo wolnego. Będziesz mógł zrobić sobie wakacje w jednym z tych pięknych hoteli z basenami. Albo spłacić długi w Polsce. Do wyboru.

Ubrany w bluzę i spodenki koloru khaki Francis Plowman już z daleka wyglądał na turystę. Był siwiejącym, szczupłym szatynem około czterdziestki, miał około metra siedemdziesięciu wzrostu, kilkudniowy zarost i przenikliwe niebieskie oczy.

– Negocjacje są tutaj dość proste – mówił z nieznośną sprzeciwu pewnością w głosie. – Chcesz detonować skałę na obszarze wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO? Tłumaczysz urzędnikowi, żeby się nie krępowal i podał kwotę, z której będzie zadowolony on i jego rodzina. Gdy się zastanawia dodajesz, że biorąc pod uwagę okoliczności panujące w Mali, jest też pewien rozsądny limit. Jest to suma pieniędzy, które czysto teoretycznie wziąłby jakiś zły człowiek za spowodowanie nieszczęśliwego wypadku...

– To rzeczywiście przemawia do wyobraźni – potwierdził Enzo, przyglądając się ministerialnemu zezwoleniu na prace budowlane i użycie ładunków wybuchowych w ścisłym rezerwacie przyrody.

– Tak, życie jest tu zaskakująco tanie. Podobnie jak siła robocza.

– Skoro pan o tym wspomniał – Enzo sięgnął po teczkę leżącą na biurku. – Analizowałem przesłaną specyfikację i mam wątpliwości co do liczby robotników. Myślę, że ogarną to w ośmiu, najwyżej dziesięciu.

– Mówmy sobie po imieniu Enzo, dobrze?
 – Jasne.
 – Ma być trzynastu. Trzynastu Murzynów, dokładnie tak, jak napisałem. Do tego ktoś, kto przygotowuje posiłki i jakiś biały gość, który ich upilnuje i ogarnie.
 – Od tego właśnie będzie Arnold – szef wskazał go skinieniem głowy. – Mój najlepszy człowiek.
 Płowman spojrzał na stojącego za plecami Enzo Błażeja, jakby dopiero teraz odnotował jego obecność.
 – Arnold? Tak masz na imię?
 – Nie, ale tak najłatwiej zapamiętać. Przez mięśnie – odruchowo napiął bicepsy i wypiął klatkę piersiową. Obawiał się, że Płowman zacznie drażyć temat jego prawdziwego imienia, kraju pochodzenia i przeszłości, lecz Amerykaninowi było to całkowicie obojętne.
 – Dobra, ja jestem Francis. Co myślisz o tej całej robocie?
 – Da się zrobić.
 – A masz do niej jakiś osobisty stosunek?
 Zdezorientowany Błażej spojrzał na Enzo i leżące na biurku papiery.
 – Jak dla mnie jest trochę... ekscentryczna.
 Enzo uśmiechnął się i skinął porozumiewawczo głową.

– Niektóre z tych rysunków powstały jeszcze w epoce kamienia – mówił Francis patrząc na utrwalone na skałach prymitywne postaci. Na głowie miał bawełniany kapelusz przeciwsloneczny z szerokim rondem. – Wiesz, nasi przodkowie gładzili przez całe dni kamyki i dopiero co skumali, że jak zasiejesz, to wyrośnie...
 – Niektórzy dotąd nie skumali – mruknął Błażej.
 Usiadł i oparł się o skałę. Francis od dłuższego czasu robił zdjęcia postaciom na skałach i porównywał niektóre z rysunków z zawartością skórzanej teczki. Kilka metrów pod nimi przejeżdżała koparka i samochody wiozące robotników.
 – Wiesz, że tubylcy, Dogonowie, do tej pory wierzą w starożytnego boga zwanego Nommo, który rozerwał się na sześćdziesiąt kawalków i po kilku dniach zmartwychwstał? – kontynuował Amerykanin.
 – Tak, słyszałem. Ochraniam turystów, słucham przewodników – wyjaśnił w odpowiedzi na zaskoczone spojrzenie rozmówcy. – Urwisko Bandiagara i cały ten Kraj

Dogonów to jedne z najważniejszych atrakcji turystycznych Mali.

– To słyszałeś też pewnie ciąg dalszy opowieści o Nommo.

– Kiedy się złożył w całość, okazało się, że jego penis został zjedzony przez rybę. Wszyscy turyści wtedy rechoczą i można jechać dalej. Do meczetu w Diafarabe.

Płowman uśmiechnął się tajemniczo.

– Według mitów Nommo dał początek wszystkim istotom: ludziom, zwierzętom, a także czemuś takiemu – wyciągnął z teczki i pokazał wydrukowane zdjęcie przedstawiające rysunek naskalny, na którym widoczne były istoty posiadające zarówno ludzkie jak i rybie cechy.

Błażej przyjrzał się mu, po czym wzruszył ramionami.

– Nie dziwi cię to?

– A co w tym dziwnego? W Grecji wierzyli w istnienie ludziokoni i kolesia z głową byka, to w Mali mogą wierzyć w ludzioryby. Jeden pies.

Płowman usiadł obok i wypił kilka łyków wody z bukłaka.

– W sumie racja. Dla mnie jednak kluczowe były okoliczności, w jakich po raz pierwszy trafiłem na opis takich istot.

Samochody poniżej zatrzymały się w niewielkiej dolinie, a robotnicy zaczęli rozkładać obóz.

– „Nagle z wody wyłoniło się podobne do nich stworzenie, potężniejsze jednak. Ogromne niczym Polifem, zdumiewające niczym potwór z koszmarnych snów” – cytował z pamięci ogarnięty narastającą pasją. – „Objęło swymi łapami obelisk i wydało z siebie kilka miarowych odgłosów...”. Pięknie to było opisane.

– Gdzie?

– W tekście Howarda Philipa Lovecrafta. Największego mistrza horroru w historii literatury. A może raczej proroka... – zamyślił się. – Po zobaczeniu tej przerażającej istoty bohater opowiadania traci zmysły i rozpoczyna ucieczkę. Potem już niewiele pamięta. Wie, że wskoczył do szalupy, zerwał się ogromny sztorm, a on stracił przytomność. Ostatecznie sam nie wie, jak został uratowany. Przez resztę życia dręczą go kosmary i wizje potwora. Próbuje radzić sobie z tym morfiną. Szybko przestaje to wystarczać i popelnia samobójstwo. Najważniejsze jednak: stwór z opowiadania nazywa się Dagon.

– Ten Lovecraft miał coś wspólnego z Mali?

– Długo nie mogłem tego rozgryźć. Mistrz opowiadał różne historie o swoim drzewie genealogicznym. Zleciłem to w końcu zawodowcom.

Ponownie przerwał i wypił kilka łyków wody.

– I co? – Błażej był szczerze zaintrygowany, do czego to wszystko zmierza.

– Pewne jest, że Howard nigdy tu nie był, a jego ojciec dosłownie nigdzie się nie ruszał, bo dostał paraliżu. Zaraził się kilką. Ale w końcu coś mnie tknęło i kazałem zbadać też możliwe powiązania z Mali ze strony rodziny jego matki, Sary Susan. I to był strzał w dziesiątkę. Wygląda na to, że jej ojciec, Whipple Van Buren Phillips, pełnił przez pewien czas poważną funkcję w strukturach francuskiej administracji w Sudanie Francuskim. Czyli między innymi na terenach dzisiejszego Mali.

– To były czasy kolonializmu, tak?

– Raczej czasy wkraczania cywilizacji do świata dzikusów.

– Chyba nie tak na to patrzą.

– Ale my wiemy swoje, tak?

Błażej nie zaprzeczył. Doświadczenie nauczyło go, by nie wchodzić w spory ideologiczne ze zleceniodawcami. Nie płacili za to premii.

– Kolonizacja to najlepsze, co mogło się Murzynom przytrafić w całej ich pieprzonej historii – spointował Płowman. – Ale do rzeczy. Kiedy Whipple Van Buren Phillips osiadł w Stanach i poznał wreszcie Howarda, ten przeżył załamanie nerwowe. Zaraz po wyjściu ze szpitala napisał zaś kilka rewelacyjnych tekstów. Między innymi ten o Dagonie. Co więcej, Dagon jest pierwszym bóstwem należącym do panteonu Wielkich Przedwiecznych, bóstw, które Lovecraft opisał w swoich przerażających historiach. Ładnie się to spina, prawda?

Choć brzmiało to jak bredzenie szaleńca, patrząc na wznoszące się nad nimi pokryte prymitywnymi rysunkami potężne urwisko z piaskowca, Błażej poczuł w sercu ukłucie niepokoju.

Bandiagara miała łącznie sto pięćdziesiąt kilometrów długości. Pierwszą wioskę Dogonów położoną na ścianie tego gigantycznego uskoku tektonicznego Błażej odwiedził już kilkadziesiąt razy. Zawieszane na skalnych półkach domy, spichlerze i pomosty zawsze budziły zaskoczone okrzyki

turystów. Zrobiono tu dziesiątki tysięcy zdjęć. Nikomu też nie chciało się jednak jeździć dalej niż do tej pierwszej.

Błażej słyszał wielokrotnie, jak unikalna jest kultura tego ludu. Dogonowie wierzyli, że świat żywych, zmarłych i bogów stanowi jedność, a człowiek rodzi się z podwójną duszą, zarówno męską, jak i kobiecą. Czcił niebiańską istotę Amma, która stworzyła jajo świata. Jajo to składało się z czterech żywiołów: wody, ziemi, powietrza i żelaza. Błażejowi brakowało w tej wyliczance ognia, ale uznał, że najwidoczniej w takim klimacie nie myśli się dodatkowo o czymś, co daje ciepło. Według mitu jajo drgnęło kilka razy i powstał z niego obecny Wszechświat. Z jaja wyłonił się też Wielki Nommo, zarówno jako mężczyzna, jak i kobieta. Kiedy podzielił się na części powstały niebo, ziemia, pory roku, dzień i noc.

Niektórzy z podróżników, których spotykał, byli przekonani, że mitologia Dogonów jest dowodem ich kontaktów z obcymi cywilizacjami. Jeden z nich (kazał nazywać się Gwiazdny Wilkiem), uparcie twierdził, że z jednego z naskalnych rysunków wynika, że tubylcy wiedzieli o Syriuszu B. Opowiadał legendę o synach Ammy-Nommo, przybyłych stamtąd na Ziemię w arce; ta wylądowała przy akompaniamencie huków i płomieni nad jeziorem Debo. Błażej zastanawiał się wtedy, czy on sam też nie powinienem się dowiedzieć czegoś o Syriuszu B, wpisując to choćby w wyszukiwarkę smartfona, ale w końcu odpuścił.

– Za powodzenie misji! – chłodne butelki piwa w dłoniach Błażeja i Płowmana stuknęły swojsko.

Było już po zachodzie słońca, upał wyraźnie zelżał.

– Dla takich chwil chciałbym być milionerem – oznajmił ochroniarz. – Środek Afryki, kawałek dalej zaczyna się pustynia, a ty wyciągasz z lodówki chłodnego browara przywiezionego zza oceanu...

Francis roześmiał się.

– To rzeczywiście musi być tu niecodzienny widok, ale też muszę ci podziękować, bo sam bym tego nie docenił – pociągnął kolejny łyk. – Teraz smakuje jeszcze lepiej.

Przejechali tego dnia ponad sto kilometrów wzdłuż Bandiagary, mijając przy tym kilka wiosek. Wyglądały dużo biedniej, niż ta oblegana przez turystów. Obóz był rozłożony, robotnicy siedzieli przed swoimi namiotami,

gotując. Błażej spojrzal na plandekę, pod którą ukryte były skrzynki z materiałami wybuchowymi.

– Co właściwie chcesz wysadzić, Francis?

– Tamto rumowisko – wskazał je palcem, lekko odchylając się przy tym w rozstawionym pod baldachimem krzeselku. – Powciskamy C4 między skały, najgłębiej jak się da, schowamy się i odpalimy. Wiesz jakie to cholerstwo jest plastyczne? – Wstał nagle i wyciągnął ze skrzynki trochę szarawej masy. – Możesz wepchnąć to głęboko w dowolną szczelinę albo ulepić, nie wiem... jednorozca. Potem wystarczy tylko zdetonować przy pomocy radiowego detonatora i bum! Ale najważniejsze, że przedtem może ci spadać, możesz w to strzelać, walić młotkiem, a nawet, patrz...

Płowman wyciągnął zapalniczkę, odpalił ją i przyłożył płomień do materiału wybuchowego. Błażej znał teorię, ale i tak odruchowo spiął mięśnie, a krople potu pojawiły się na jego czole. Wpatrzony w płomień wziął jeszcze łyk piwa. „Jak umierać, to z chłodnym piwem w ustach” – pomyślał. Nic jednak nie wybuchło.

– Cudo! – Płowman zakończył eksperyment i rzucił niedbale kawałek C4 na ziemię. Jeden z obserwujących go robotników poderwał się na nogi i rozlał zupę, wzbudzając tym śmiech pozostałych. Milioner pozdrowił go gestem i zakrzyknął:

– Wszystko dobrze!

– Dobra, muszę zadać to pytanie – odezwał się Błażej. – Serio wierzysz, że pierwsi Dogonowie mieli postać ludzi-ryb i utrzymywali kontakty z bogami z innych światów?

– Tak. I chcę osobiście spotkać jednego z tych bogów. I powiem ci, że nie jestem pierwszym, który do tego doszedł. W czasie wojny pracowała w tym miejscu ekipa Francuzów. Niby były to prace archeologiczne, ale kierował nimi wojskowy. Jeden z najlepszych oficerów we Francuskiej Afryce Zachodniej. Mam jego notatki z wielu lat badań. Poczekaj...

Amerikanin rozłożył mapy i notatki, po czym przez godzinę tłumaczył Błażejowi obszerne fragmenty z francuskiego.

– I ten oficer ostatecznie wysadził to wszystko? – zapytał w końcu Błażej.

– Wybuchła wojna i nie chciał, żeby jego odkrycie wpadło w ręce Niemców.

Wczesnym rankiem potężna eksplozja wstrząsnęła okolicą. Część odłamków skalnych doleciało nawet do ustawionych pięćset metrów dalej pojazdów, za którymi skrył się Francis, Arnold i robotnicy. Jeden z kamieni wybił okno koparki, była jednak zdatna do użytku.

Przez dalszą część dnia Francis właściwie nie spuszczał oka z koparki i jej wielkiej łopaty. Siedział w swoim pustynnym kapeluszu na skałach w pobliżu miejsca, gdzie pracowała i wskazywał robotnikowi, który siedział za jej sterami, miejsca, w których należało kopać.

Większość czarnoskórych nie miała nic do roboty, a z krótkiej rozmowy Błażej zrozumiał, że istnienie pradawnych rytualnych jaskiń nie robi na nich żadnego wrażenia. Okazało się też, że raz na trzy lata przeprowadza się tu zbiorowe obrzezanie młodych chłopców. Przy wejściu do jaskini znajdowały się dwa kamienie. Na większym siedział mistrz ceremonii, na mniejszym po kolei każdy z młodzieńców. Po szybkim zabiegu szli do groty, gdzie mieszkali razem przez dwadzieścia pięć dni, a po tym czasie wracali do wioski jako prawdziwi mężczyźni.

– Najważniejsze, to nie okazać strachu. Właściwie nikt też nie krzyczy ani nie płacze – dodał jeden z rozmówców.

– Arnold! Co tu robisz?! – wrzasnął zbliżający się Płowman. – Mamy wejście. A ty? Jak się nazywasz? – zwrócił się do robotnika.

– Felix Eboue.

– Chodź z nami Felix, weź ten plecak, latarki, kilof i łopatę – rzucił po czym skierował się do swojego namiotu po torbę z notatkami.

Jeden rzut oka w świetle latarek czołowych wystarczył, by stwierdzić, że znaleźli się w złożonym kompleksie jaskiń. Już w pierwszej Płowman zakrzyknął z zachwytem na widok malowidła przedstawiającego kilka różnej wielkości kólek i kropek. Porównał je z jedną ze stron w swojej teczce. Błażej odniósł wrażenie, że ich układ rzeczywiście wygląda podobnie.

– To cztery księżycy Jowisza. Callisto, Io, Europa i Ganimedes – mówił Płowman z rosnącą ekscytacją, robiąc przy tym dziesiątki zdjęć. – W Europie dostrzegł je dopiero Galileusz. A tamto nad przejściem do kolejnej



Adria Wierzbowska / PLSP w Supraślu

groty, to Psia Gwiazda, a właściwie... Obie. Syriusz A, czyli w tutejszym języku Sigu Tolo i Syriusz B, nazywany przez nich Po Tolo. Tę mniejszą można zobaczyć tylko za pomocą teleskopu... Ta wiedza jest tu starsza, niż ktokolwiek przypuszczał.

Przez kolejne jaskinie przechodzili szybciej. Astronomiczna wiedza Płowmana nie pozwalała mu rozpoznać ani tym bardziej nazwać kolejnych narysowanych na ścianach układów gwiazdnych i planetarnych. Fotografował je tylko i szedł dalej.

– Widzisz to? – wskazał wreszcie malowidła przedstawiające zbiorowisko postaci. – Takie same rysunki znalazłem w bibliotece w Finlandii. W Turku. Mają tam kolekcję wszelkich ezoterycznych manuskryptów, jakie wyszły spod ludzkiej ręki, w tym jeden szczególnie, spisany na ludzkiej skórze... Przyjrzyj się temu uważnie.

Błażej przypatrywał się chwilę figurom postaci. Rysunek przedstawiał dużą grupę, prawdopodobnie całe plemię, przed którym kapłani składali ofiary z ludzi. Obok piętrzył się stos odciętych głów, a krew z korpusów spływała do niecki. Takiej samej, jaka znajdowała się pośrodku jaskini. Pod nią narysowane były też postacie ryboludzi, które od spodu spijały krew ze skalnej niecki.

– To chyba jakiś rytuał – stwierdził Błażej, zaraz też zreflektował się, jak oczywiste i idiotyczne było to stwierdzenie.

Francis niedbalym gestem ręki kazał Felixowi zbliżyć się i zdjąć plecak, od którego odwiązał długi, zawinięty w materiał pakunek. Zawierał on maczetę, którą wyciągnął, ważył chwilę w dłoni, po czym sprawnym cięciem odrąbał głowę czarnoskórego robotnika. Rozbryzg ciepłej krwi sięgnął twarzy Błażeja.

Szok sparaliżował ruchy kulturysty. Było to takie samo obezwładniające uczucie, jakie czuł pięć lat wcześniej podczas niechlubnej akcji w Radomiu, po której stracił pracę w policji. Zginął wtedy jego partner.

– Przeprowadź następnego – rzucił Płowman, po czym przeciągnął ciało Felixa tak, by krew sączyła się do wgłębienia na dnie jaskini. – Tylko się pospiesz. Potrzebujemy dużo krwi!

– Francis... – odezwał się Błażej, powoli odzyskując władzę w ciele. – Panie Płowman... Nie zrobię tego.

Amerikanin spojrział na niego z wyrazem bezmiernego zdziwienia.

– Jesteś biały, twój kraj latami babrał się w ich krwi...

– Polska nie miała kolonii... Próbowaliśmy, ale... – westchnął. – To dłuższa historia...

Amerikanin podszedł do niego.

– Posłuchaj, Arnold... Potrzebuję więcej krwi pieprzonych czarnuchów, tych „monstrualnych krzyżówek pikantropa i ameby” – szeptał zapalczywie. – Zrozum, że te stwory to nie ludzie, tylko „zdegenerowana substancja zmieniona w coś w rodzaju fermentującej galarety”. Pójdiesz tam teraz...

– Nie – Błażej pokręcił głową. – Możemy powiedzieć, że to był wypadek, ale nie zabijesz już nikogo. Wróćmy teraz do obozu, dobrze?

Błażej zorientował się, że dostrzega więcej szczegółów na twarzy Płowmana. Oświetlenie w jaskini nabrało też nowego odcienia. Z przerażeniem skonstatował, że krew w niecce zaczęła delikatnie opalizować.

Po twarzy Francisza przebiegł wściekły grymas, a maczeta błyskawicznie zatoczyła w powietrzu półkole. Błażej zdążył odsunąć się zaledwie o krok i osłonić lewą gardą. Trzasnęła kość przedramienia, a przecięte w połowie potężne przedramię mężczyzny znalazło się w powietrzu, po czym spadło na ziemię tuż obok kałuży krwi wyciekającej z korpusu Felixa.

Błażej spojrział na kikut, z którego – pulsując – lała się krew, rzucił się na ziemię i przetoczył pod ścianę.

Płowman nie ruszył za nim. Odwrócił się i stanął nad wypelnioną już niecką, wpatrując się w nią jak za hipnotyzowany. Jednocześnie, wbrew prawu grawitacji, coraz silniej jaśniejąca w niecce krew wznosiła się strumieniami nad ziemię, tworząc wokół Amerikanina nierównomierną, sferyczną sieć połączeń.

Błażej odwrócił wzrok od tego upiornego widowiska. Czuł porażający ból, ogarniała go także coraz większa słabość. Odpiął i wyszarpnął pasek spodni, po czym podjął próbę zaciśnięcia go na osłizłym od krwi kikucie.

Amarantowa sfera domknęła się wreszcie ponad głową Płowmana. W tym momencie z niecki począł wyłaniać się obrzydliwy, skąpany w posoce stwór. Wpierw wysunął spięte błoną palce rąk i głowę. Pysk miał zarazem ludzki i rybi. Jego ogromne wargi, szerokie przy tym i obwisłe oraz wybaluszone oczy, sprawiały wrażenie głębokiego umysłowego kalectwa. Gdy w pełni wczuł się do jaskini i przybrał pionową postawę, był o metr wyższy od Płowmana. Jego przygarbione cielsko przybrało przy tym łukowaty kształt, podobny stojącej krewetce. Na plecach miał ostrą pletwę grzbietową, która rozwinęła się z odgłosem przypominającym złowrogi charkot.

Stwór chwycił przerażonego Płowmana w błoniaste palce i natychmiast wbił zęby w jego ciało. Jednym ugryzieniem pozbawił go ręki i części klatki piersiowej. Wygiął następnie cielsko w tył, by łatwiej przelknąć ten olbrzymi kęs świeżego mięsa. Co było jednak jeszcze bardziej zatrważające, Amerykanin wciąż żył i z fascynacją patrzył na pożerające go stworzenie. Jego druga dłoń, działając jakby całkowicie niezależnie, z czułością dotknęła pyska Dagona, a usta z czią wyszeptaly jego imię.

Przytrzymując zębami zaciśnięty na kikucie pasek, Błażej rzucił się do ucieczki. Nie pamiętał nic z szaleńczego błędzenia po jaskiniach i delirycznego powrotu do obozu.

Enzo usiadł przy szpitalnym łóżku.

– Podobno znów próbowałeś wyskoczyć z okna... Arnold, nie wiem dokładnie, co tam się wydarzyło, ale na maczecie były tylko odciski palców Płowmana. Nikt go nie widział, nikt nie wie gdzie przepadł, ale też ciebie nikt o nic nie oskarża – oznajmił spokojnym tonem.

Błażej nie odpowiedział. Jego wzrok był nieobecny, szalony, mętny. Dla Enzo stało się jasne, że nie wynika to tylko z dużej dawki morfiny, płynącej w żyłach okaleczonego olbrzyma. Gdzieś w tym wielkim ciele kryła się złamana na zawsze psychika, której nie mogła ocalić największa nawet tarcza mięśni.

Wykorzystano fragmenty listów Howarda Philipa Lovecrafta do Belkampa Longa w przekładzie Jacka Giszczaka z książki Michaela Houellebecqa *H.P. Lovecraft Przeciw życiu, przeciw światu* oraz opowiadania *Dogon* na podstawie tłumaczenia Roberta Lipskiego.

MAREK NOWAK

– urodzony w 1974 roku, absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, dziennikarz, scenarzysta, autor krótkich form literackich publikowanych między innymi w „Nowej Fantastyce”, „Nowym Talizmanie”, kwartalniku literackim „Fa-Art”, „Przeglądzie Artystyczno-Literackim (PAL)”. Wydał nowele *Zabić Jędzę* (2010) i *Zabójca bogów* (2019). Wyróżniany w konkursach literackich „O świetlne pióro” i „Literatura na miotle”. Dwukrotny stypendysta Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej (scenariusze filmów fabularnych „Wielki Książę” i „Obywatel”). Jako scenarzysta współpracował z Łódzkim Centrum Filmowym, Studiem Filmowym Dr Watkins, pisał dialogi na potrzeby programów rozrywkowych i serialu, zaś jego słuchowisko zostało zrealizowane w ramach Sceny Współczesnej Teatru Polskiego Radia. Obecnie pełni funkcję redaktora naczelnego portalu internetowego związanego z telekomunikacją i nowymi technologiami.



fot. archiwum prywatne autora